

W TUNELU...

XIV

Poniedziałek, 18 IX 1939 r.

Dochodzimy do Kazimierzówki i mamy „w nogach” 16 kilometrów marszu, po trudnym dniu i nie przespanej nocy. Tutaj siostry zakonne prowadzą prewentyrium dla dzieci. Zachodzimy, by napić się świeżej wody. Dowiadujemy się od zakonnic i obecnych cywilnych uciekinierów, że wczoraj Armia Czerwona przekroczyła granice państwa polskiego. Nie bardzo wierzymy, ponieważ mamy podpisany pakt o nieagresji między Polską a Związkiem Radzieckim, którego ważność nie wygasa. Zaczynają się nam układać w całość wyniki spotkań ministrów Ribbentrop – Molotow, a więc nawałnica dwóch wrogów.

Co będzie z dyrektywą naczelnego wodza? Była zarządzona koncentracja na wschodnich terenach Polski, które miały być miejscem spotkania rozproszonych sił. Co robić? Dyskusja przechodzi w polemikę, którą rzeczowo przerywa Antiof Poleć: „Odzywaj się tylko wtedy, gdy wiesz o co chodzi”. My nie wiemy i dlatego idziemy dalej na wschód, a wszystko się wyjaśni w garnizonie miasta Chelma.



Rodzice autora, z którymi żegnał się w wieczór poprzedzający wymarsz z miasta

Opuszczamy Kazimierzówkę i maszerujemy w kierunku Wierchowisk. W tym czasie kilka razy nadlatywały po trzy, dwa a nawet pojedyncze samoloty nieprzyjacielskie, siejąc zamęt i popłoch, gdyż ostrzeliwali idące grupy ludzi cywilnych, wojskowych i różnego rodzaju kolumny pojazdów. Przed Piaskami Luterskimi, gdzie na wysokości Kęblowa, jeden z pilotów obniżył lot i lecąc tuż ponad szosą, „sieknął” z broni maszynowej tłum, który rozbiegł się na oba pobocza drogi. Sadysta ten, zrzucił też kilka granatów. Są zabici i ranni oraz bardzo dużo szokowanych.

Wśród nas nie ma poszkodowanych. Udzielamy pierwszej pomocy, opatrując przede wszystkim rannych, ponieważ prawie wszyscy mamy harcurskie sprawności sanitariusza i trochę materiałów opatrunkowych. Ciężej ranni pozostają, niestety, bez fachowej pomocy lekarskiej. Kilku rannych włożyliśmy na furmanki, część właścicieli była temu niechętna, ponieważ uszczuplało to ich i tak już niewygodną sytuację. Ustąpili jednak pod naszą groźbą. A więc i my zaczynamy uciekać się do przemocy. Tak, to już wojna odarta ze wszelkich zasad romantyzmu i rycerskości, choć nadal nie rozumiem jak można strzelać do bezbronych, pieszych wędrowców i polować na nich, jak na bizona na Dzikim Zachodzie.

Patrząc na zabitych myślałem, że są wśród nich oraz wśród poległych w ostatnich dniach w całej Polsce i tacy, którzy oddali życie za Ojczyznę świadomie /mjr Janiszewski/ oraz ci, którym to życie zabrano. Idę przy wozie z rannymi, z niektórych życie uciekało, z innych wyciekało. Tajemnica umierania. Trzeba i w tym mieć szczęście, by przejście na drugą stronę było godne, a to nie zawsze zależy od nas. Każdy ma nieś swój krzyż, na swoich ramionach.

Wchodzimy do Piask Luterskich. To małe miasteczko, zbudowane przeważnie z „brył wapiennego kamienia”, jest prawie wyludnione. Kupić nic nie można, a studnie przeważnie wyczerpane, lub z resztkami mętnej wody. Jemy zapasy i odpoczywamy. Jacyś ewakuowani lekarze udzielają pomocy rannym, których wieziono na furmankach. Proponują dalszy transport, do najbliższego szpitala w Krasnymstawie. Koledzy, którzy zdecydowali się iść na Zamość, biorą „pod opiekę” transport rannych. Dołącza się do nich jakiś lekarz, twierdzi, że jest z Katowic, niestety, internista. Przed opuszczeniem miasteczka wstępujemy do pięknego barokowego kościoła. Odprawiają się modły za zmarłego mieszkańca Piask. Rodzina i sporo ludzi. Ten miał szczęście, otaczają go najbliżsi, wśród nich „dostojnie” umierał, a nie gdzieś przy drodze, na „pątniczym szlaku”, jako bezimienny.

Nasza grupa dotarła przez Brzezice do Dorohuczy, gdy wrześnie słofce zaczęło chylić się ku zachodowi. W niektórych miejscach wzdłuż szosy leżały zwierzęta /krowy, konie, a nawet dwa psy/, zabite przez pilotów messerschmitów. Wandale XX wieku. U części zwierząt wykrawane były duże kawały mięsa. Spotykaliśmy też pojedyncze mogiły. Na jednych stały krzyże, na innych były tabliczki z nazwiskami poległych. Na niektórych, nieco ziemi, tylko nad poziom przydrożnego rowu. To mogiły bezimiennych. Zobaczyłem, jak ten „co wczoraj był wesół i zdrow”, dzisiaj jest „nieznanym cywilem” lub „nieznanym żołnierzem”.

Pomimo, że z Piask przeszliśmy tylko 5 kilometrów, jestem zmęczony, może nawet wyczerpany. Szukamy noclegu i jeden z gospodarzy witając nas nie tylko życzliwym słowem ale i wzrokiem udziela schronienia w stodole, a nawet proponuje mieszkanie. Na kolację dostajemy mleko, ser i chleb z masłem. Pani gospodyni nie chciała od nas wziąć pieniędzy. Stwierdziła, że stać ją na poczęstunek, a pieniądze jeszcze nam się na pewno przydadzą. Bóg zapłać.

Zasypiam snem utrudzonego wędrownika. Biorę jeszcze pod siebie karabin, ponieważ boję się, by w czasie snu, ktoś mi go nie ukradł, gdyż dużo młodych uciekinierów jest bez broni i łakomym wzrokiem, spoglądają na naszą broń. Część śpiących w stodole jeszcze w nocy zrezygnowała z noclegu, udając się w dalszą wędrowkę, a na ich miejsce, dołączyli inni. Opowiadali, że szli na Łęczną i Sosnowicę, ale wrócili za radą innych, którzy informowali ich, że część mieszkańców za Sosnowicą była w stosunku do uciekinierów niezbytlibo usposobiona, odmawiając noclegu i sprzedaży żywności.

(cdn)